



WYSTĘP
MUSZYKA WIOSNA I WIOSENNA
W GORACH ROCKA W POLSCE
5. & 6 LIPCA 91

imię **WYSZARD**
nazwisko **KIEBEL**
nazwa zespołu **DELM**
adres **Lublin**

Na zamówienie do wykonania
innych zamówień

BARZ – POLSTRODOL
ul. Słowackiego 10
20-000 Lublin

fot. Jerzy Linder

Był silną, autonomiczną postacią, która ponad wszystko ceniła swoją wolność i niezależność. Trzeba sobie to powiedzieć szczerze.

SEBASTIAN RIEDEL

SŁOWO WSTĘPNE

9

Minęły dwa lata, od kiedy pierwszy raz w swoim życiu, tak na poważnie, zebrałem myśli i usiadłem do spisania swoich wspomnień związanych z Ojcem. Wspomnień i przemyśleń. Nie wszystko przecież pamiętam dokładnie, ale klimat – tak. Była to dla mnie przygoda i wyprawa w głąb samego siebie, bo to tam te wszystkie wspomnienia przechowuję. W różnych „szufladkach”. Sam nie wiem, co przed laty w nie włożyłem. Co znalazło się w nich specjalnie, a co przypadkiem. Czasami samo tam powpadało, zapodziało się, przykurzyło... i czeka, aż do mnie wróci. Wszystkie te opowieści, choć czasami blahe, mają swoją siłę i ogromną dla mnie wartość. Jest ich przecież stosunkowo niewiele – kiedy Ojciec odszedł, miałem raptem szesnaście lat. Choć jak na tak krótki czas to myślę, że przeżyliśmy ze sobą sporo. Samo to, że zajmuję się tym, czym zajmuję, że życie związałem z muzyką, jest na to najlepszym dowodem. Nie mogę żyć inaczej. Nie potrafiłbym. Zupełnie jak On.

Wydaniu pierwszego tomu wspomnień towarzyszyło sporo spotkań z czytelnikami. Jeździłem na nie z Marcinem, autorem książki. Byłem zaskoczony, jak wiele osób one przyciągają. Wcześniej nie znałem tych ludzi. Na scenie jestem już dwadzieścia pięć lat i znam swoją publiczność. Tę dopiero poznawalem. I ona mnie też. Wiele spośród tych osób podchodziło do mnie po spotkaniach, by opowiedzieć mi swoje przeżycia związane z Ojcem czy pokazać wspólne zdjęcia lub zapisane przez niego dedykacje. Niektórzy z nich faktycznie mieli okazję go poznać, a inni wspominali, jak ważne były i wciąż są w ich życiu utwory Dżemu, które zaśpiewał Tata. Niektórzy pamiętali mnie jako małego chłopca uczonego u jego boku. Zapamiętałem pewną kobietę, która spotkała Tatę w pociągu. Przysiadł się do jej przedziału, gdzieś w podróży po Polsce. Kiedy na chwilę wyszła z przedziału, on wziął w dłoń jej książkę i zaczął ją z uwagą czytać. Chwila jak chwila, niby prozaiczna, a jednak utkwiła w pamięci tej osoby i do dzisiaj jest jednym z ważniejszych jej wspomnień w życiu. Później zamienili ze sobą kilka słów, wymienili kilka poglądów i już nigdy się nie spotkali.

Myślę, że Ojciec miał w sobie jakąś siłę, która działała na ludzi, także poza sceną. Kiedyś na jednym ze spotkań słuchaliśmy z gośćmi płyt winylowych, które przed laty były w rękach mojego Taty podczas krótkiej wizyty w tym mieście. Zaproszono go na prywatkę, gdzie sam wybrał albumy z kolekcji gospodarza, które zostały „puszczone” w czasie zabawy. Obecnie są szanowane i traktowane niemal jak relikwie. Minęło kilkadziesiąt lat i teraz ja miałem je w ręce, odsłuchiwałem. Oczywiście nie byłem zaskoczony, że były to albumy Free i Cream. Zupełnie jak u nas w domu...

Jakiś czas temu przypomniało mi się, w kontekście odtwarzania w naszym domu muzyki, że mieliśmy z Ojcem na swoim sumieniu pewne występkę. Znajoma miała dostęp do świetnie brzmiących oryginalnych

kaset z Kanady. Pożyczała nam je w dobrej wierze, bo wiedziała, że w naszym domu muzyka jest wszystkim. Po prostu – jest najważniejsza. Przegrywaliśmy sobie te kasety, ale dobre i wprawione ucho Ojca wylapywało wszystkie niedoskonałości, które przy okazji przegrywania się pojawiały. Może i nikt inny by ich nie wychwycił, ale on tak. Doskwierało mu to. Wpadłem na to, że przecież możemy rozkręcić kasety i po ich przegraniu podmienić taśmę. I tak robiliśmy. To była nasza tajemnica. Ucieszył się, że na to wpadłem. Zresztą pisałem już, że ojciec był „psotnikiem” i nie było go trudno namówić na takie numery.

Wspominałem, że czasami wracają do mnie wspomnienia sytuacji, które miały miejsce przed laty, tych związanych z Ojcem. Często są dla mnie zaskoczeniem. Wydawałoby się, że przepadły na zawsze. A jednak wracają. Głównie są to wspomnienia „z drogi”. Takie jest przecież życie muzyka. Skazany jest na przemieszczanie się z miejsca na miejsce. Czasami towarzyszyłem Ojcu w trasach koncertowych. Wyjeżdżaliśmy autokarem wspólnie z zespołem. Tak docieraliśmy na pierwszy koncert na trasie. Później ojciec się odłączał i podróżowaliśmy osobno. Zawsze obmyślał, jak dostać się z miejsca na miejsce – głównie odbywało się to pociągami lub autostopem. Kiedyś łapaliśmy „okazję” przy drodze i zatrzymała się rodzina podróżująca dużym fiatem kombi. Nie wiem, czy go rozpoznali – być może tak, bo czasami tak bywało. Ja z tej podróży najbardziej pamiętam to, że kiedy przejeżdżaliśmy przez jakąś typowo polską niewielką miejscowość, dojrzeliliśmy przez okno rozłożone na łące wesołe miasteczko. Zatrzymaliśmy się i Tata zabrał mnie tam, bym pojeździł na koniu. Rodzinie ten pomysł się spodobał i ich dziecko, mniej więcej mój rówieśnik, także się na te atrakcje załapał. Tata rozmawiał z tą rodziną w tym czasie i wyglądał na zadowolonego. Mam go jeszcze przed oczami z tamtego dnia. Cenił taką wolność, wiedział, że podróżując w autokarze z zespołem, nic takiego nie mogło mi się przydarzyć. A tak – jeździłem na koniu!

Kolejne wspomnienie, które do mnie powróciło, także związane jest z byciem w drodze. Tata pojechał swego czasu wraz ze swoim przyjacielem Markiem Sasem ze Śląska do Koszalina. Było tam lotnisko, z którego Marek Sas odlatywał do Londynu. Ojciec mnie tam zabrał. Jechaliśmy wynajętym przez Marka samochodem. W pewnym momencie Ojciec dojrzał autostopowicza. Poprosił Marka, żeby się zatrzymał. Jakież było zdziwienie tego człowieka, kiedy Ojciec zapytał się go, czy ma prawo jazdy i czy może podwieźć nas do Koszalina. Okazało się, że miał. Ojciec zaprosił więc Marka na tylną kanapę i otworzył butelkę dobrej whisky. Nasz „pasażer” zasiadł za kierownicą, a ja usiadłem z przodu, co było dla mnie wielką przygodą. I tak oto w czwórkę, po wielu godzinach jazdy, dotarliśmy do Koszalina.

Innym razem zabrał mnie ze sobą do Olsztyna, na warsztaty muzyczne, gdzie miał prowadzić grupę wokalistów, uczyć ich śpiewu. To było zabawne, bo przecież on nie był w stanie wyjaśnić tym ludziom nic z teorii. Sam nigdy nie brał żadnych lekcji śpiewu. Nie miał w ogóle pojęcia, jak się za to zabrać. Oni patrzyli w niego jak w obrazek, a on nie miał im właściwie nic do powiedzenia. Postanowił więc opowiedzieć im o wszystkich swoich idolach i o tym, jak słuchał ich płyt i chłonał to wszystko, co oni teraz w nim słyszą, prosto ze źródła. Opowiedział im o starych mistrzach i prawdziwych amerykańskich, niemal zapomnianych już bluesmanach. Grupa nawet nie weszła z nim do sali. Te opowieści odbywały się na schodach, gdzie wszyscy wspólnie usiedli. Widziałem to i nie sądzę, że jego uczniowie byli zawiedzeni. Pokazał im, jak być sobą, i wyjaśnił, jak prawdziwie słuchać muzyki. Chyba właśnie tę szczerłość chciał im pokazać. Dla mnie ten wyjazd był ciekawy także z innego powodu – sam interesowałem się już instrumentami i chętnie zaglądałem na zajęcia, które w innych grupach prowadzili muzycy Dżemu. Były tam rozstawione bębny i podłączone gitary. Korzystałem z tego. Strasznie mnie ten świat już wtedy pociągał.

Ojciec przez całe życie miał dystans do tego, co robi i jak to robi. Nie wierzę, że nie zdawał sobie sprawy z tego, jakim talentem dysponuje. Pamiętam, że co jakiś czas do domu przysyłane były nagrody dla najlepszego wokalisty w dorocznych podsumowaniach branżowych pism. Biegałem po nie do skrzynki pocztowej. Przeważnie były w formie oprawionych dyplomów zapakowanych w spore koperty. Ojciec spoglądał na nie z zaciekawieniem, ale nie był przesadnie uradowany i nie pękał wcale z dumy. Przyjmował to ze spokojem. Był skromnym człowiekiem, choć zdarzało mu się wyprzedzać w tych zestawieniach wiele autentycznych gwiazd polskiej piosenki.

Kiedy słynna Metallica (było o tym głośno) zagrała na koncercie w Polsce utwór, który przed laty śpiewał z Dżemem Ojciec i do którego sam napisał tekst, nie mogłem w to uwierzyć. Pomyślałem, że to wielka sprawa i na pewno sprawiłaby mu radość. „Wehikul czasu” był dla Ojca ważnym utworem autobiograficznym. W tamtej chwili przypomniało mi się, że przecież on sam był kiedyś na koncercie Metalliki – w 1991 roku na Stadionie Śląskim. Nie chwalił się tym jednak i ja sam dowiedziałem się o tym od niego przez zupełny przypadek. Kiedyś kupiłem sobie kilka kaset AC/DC. Obejrzał je z zainteresowaniem i powiedział, że widział kiedyś ich koncert, a supportem była wtedy właśnie Metallica. „Coooo?!” – chyba nawet krzyknąłem na niego. „I nie zabrałeś mnie?!”. Opowiedział mi wtedy, że przechodził akurat w pobliżu Stadionu Śląskiego i zobaczył, że coś się tam sporego dzieje. Kiedy dowiedział się, że występują tak ważne zespoły, a on nie ma biletu, szybko pobiegł w jakieś niewidoczne dla innych miejsce, przerzucił przez płot kapelusza, a później sam się po nim wspiał i przeskoczył na drugą stronę. Opowiedział mi, że nie minęła chwila, jak podbiegła do niego ochrona, ale szybko go rozpoznano. Ochroniarze byli zaskoczeni, że widzą go w tym miejscu, ale nie wyrzucili go i pozwolili mu wejść w tłum.

Z pewnością byłby zaskoczony, że jego kurtka (najbardziej znana z okładki płyty „Detox”) wisi dzisiaj obok gitary Keitha Richardsa z The Rolling Stones oraz rękopisu Morrisona i innych cennych pamiątek ludzi światowego rocka w warszawskiej Hard Rock Cafe. Przy którejś z kolei wizycie w stolicy poszedłem sobie ją tam zobaczyć. To zabawne, bo ja sam w niej też przed laty chodziłem. Pożyczałem ją od Taty na randki albo na koncerty moich pierwszych zespołów. Do dzisiaj też pamiętam, jak wisiała u nas w przedpokoju, kiedy akurat Ojciec nie był w trasie. Bardzo ją lubił, choć naprawdę nie pamiętam już, skąd się wzięła w jego garderobie. Kolejną lubianą przez niego kurtką, w której często chodził, była stara brązowa kurtka ze skóry. Była już mocno zniszczona, a on jeszcze brał cienki papier ścierny i ją celowo postarzał. Lubił popracować przy swoich ciuchach. Potrafił ładnie szyć i znał też wiele innych patentów, dzięki nim rzeczy, które nosił, były niebanalne. Postarzał też swoje kowbojki (także je ścierał na czubkach), prostował rondo kapelusza. Pewnego razu wymyślił całą konstrukcję, dzięki której wielokrotnie namaczany wcześniej w wannie i podgrzewany nad kuchenką kapelusz wisiał w łazience z uwieszonymi do niego ciężarkami, by wstecznie już wypłaszczyć rondo, zgodnie z jego wizją. Później ten kapelusz jeszcze długo leżał na kanapie poobkładany ciężkimi figurkami Buddy, które kolekcjonował. W końcu wyszedł mu idealnie – taki, jaki chciał!

Szył też paski do gitar dla chłopaków z Dżemu. Ciekawe, czy jeszcze u nich są. Kiedyś przerobił jeden ze swoich kapeluszy i przymocował do niego od wewnątrz słuchawki do walkmana. Pokazywał mi to: „Patrz, Bastek. Zakładam teraz kapelusz i od razu muzyka!”. Czasami dziwiłem się, że zna tyle sprytnych i praktycznych patentów, a nie potrafił obsłużyć pilota do telewizora, kiedy te się pojawiły. Zawsze mnie wołał, żebym mu w tym pomógł. Przypomniałem sobie o tym, kiedy swego czasu w telewizji zobaczyłem migawki

z domu Ozzy'ego Osbourne'a, jak walczył z pilotem do telewizora. Mój Ojciec był taki sam...

Nie zostało nam wiele z tych jego oryginalnych ubrań i kojarzonych z nim atrybutów – raptem jedna bandana z koncertów w Spodku, melonik, który zakładał na scenę, koszula i kożuch z młodości (na jego rękawie wypisał swoje imię i nazwisko), no i ta kurtka, która jest dzisiaj ozdobą „Hard Rock Cafe”. To chyba wszystko, co pozostało. Kapelusz, który widać na okładce tej książki, został mu skradziony, chyba z garderoby. Był z tego powodu załamany i wściekły. Kiedy emocje opadły, przeszło mu to w smutek i żal za straconym ukochanym przedmiotem.

Kiedyś wracałem ze szkoły do domu i przechodziłem obok śmietnika. Byłem zaskoczony, kiedy zobaczyłem tam ciuchy Taty – jego słynne spodnie skórzane i tę brązową kurtkę, o której wspomniałem. Okazało się, że Mama sprzątała szafy. Rzuciłem się na to i wszystko pozbiierałem, i zaniósłem z powrotem do mieszkania. Śmierć Taty była dla Mamy mocnym ciosem i może chwilowy impuls spowodował, że chciała się tego wszystkiego pozbyć. Nie wiem.

Ojciec jest kojarzony ze spokojem i w sumie dość łagodnym charakterem. To wszystko prawda, ale ja zapamiętałem wyjątki od tej reguły. Sam się dziwiłem, że on potrafi podnieść głos, wyklócić się. Co prawda nie były to jakieś bardzo istotne sytuacje, ale były – i też wspominał je z zaciekawieniem. Ojciec nie lubił chodzić z identyfikatorami na szyi. Krępowaly go. Zawsze chował je po kieszeniach albo szybko rozdawał je fanom. Kiedyś, i to w Spodku, ochroniarze nie chcieli go przez to wpuścić na teren obiektu. Ojciec wkurzył się za takie przekomarżanie, bo przecież ci ludzie świetnie wiedzieli, kim jest i że zaraz ma wejść na scenę. Nie odstępowali od swoich procedur, przez co

wywiązała się awantura. Innym razem jego wpuścili, a mnie nie chcieli. No i znów Ojciec się z nimi posprzeczał. Mało tego – zdenerwował się na całego, bo nawet zaczął na nich krzyczeć! Innym razem to już zupełnie mnie zszokował. Dżem grał koncert z Tiltiem i ich basista, który korzystał z Dżemowego sprzętu, kopnął we wzmacniacz Bena. Coś się przez to zepsuło, a to wtedy były drogie rzeczy, często sprowadzane nie bez trudu z zagranicy. Ojciec szedł ze mną za rękę gdzieś na zapleczu i w pewnym momencie minęliśmy tego muzyka. Ojciec odwrócił się w jego stronę, puścił mnie na moment, zrobił kilka kroków w jego stronę i wymierzył mu potężny cios w twarz. Byłem przestraszony, bo nie znałem Ojca z takiej strony. Ten basista też się pewnie zdziwił, bo nawet się nie zrewanżował. Ojciec spokojnie odszedł. Co jak co, ale honorowy potrafił być!

Był dla mnie zawsze na swój sposób kochającym ojcem, ale potrafił być też wymagający i o tym również wspominałem we wstępie do pierwszego tomu tych opowieści. Niedawno, kiedy sam występowałem w Jarocinie, przypomniała mi się sytuacja, która miała miejsce na tym festiwalu przed laty, gdy przyjechałem tutaj z Dżemem. Do Jarocina dojechali moi znajomi z Tychów i planowałem zostać z nimi na polu namiotowym. Chcieliśmy się dobrze pobawić i fajnie spędzić czas z dala od domu. Nie byłem już małym chłopcem. Kiedy Dżem pakował się już do swojego autokaru, podszedłem do Ojca i powiedziałem mu, że zostaję. Naprawdę nie myślałem, że będą z tym jakieś problemy, ale on nie chciał o tym słyszeć. Posprzeczałyśmy się, ale kiedy wypowiedział te swoje charakterystyczne „Bastek, bez dyskusji!”, wiedziałem, że nic z tego nie będzie. Zawsze gdy wypowiadał to zdanie, to znaczyło, że naprawdę nic się już nie da zrobić. Był stanowczy i nie odpuszczał. Oczywiście przez całą drogę już się do niego nie odzywałem nawet słowem. Później mi na szczęście minęło.